

Piotrek oderwał czoło od zatłuszczonego, zabryzganego piwem, stojącego w kącie karczmy stołu. Powiódł niewidzącym spojrzeniem po zakopconych ścianach – świat wokół pędził w rozmażanych smugach.

Zdało mu się, że obok, na drewnianej ławeczce wirującej karuzeli siedzi Julka. Wybrali się przecież na krakowskie błonia do wesołego miasteczka...

...Julka, przyciskając do piersi zrolowany ciasno skrypt – urwali się prosto z zajęć – zamknęła oczy, uniosła głowę, łapiąc otwartymi ustami wiatr. Złote loki, niesione siłą odśrodkową pędzącej karuzeli, opłotły mu twarz.

Uczucie szczęścia, znane dotąd tylko z marzeń sennych, rosło w nim, przepęniało pierś, by wybuchnąć wreszcie wibrującym od narastającego podniecenia głosem:

– Aaaleee jaazdaa!

Wychylił się, spojrzał w dół i wrzasnął do obsługującego karuzelę chłopaka.

– Dajesz, dajesz!

Ten zadarł wytatuowaną gębę.

– Czekaj, koleś, dopiero zacząłem.

Karuzela wirowała coraz szybciej. Po chwili siedziska zaczęły wspinać się wyżej i wyżej, tworząc poziome, szaleńczo pędzące koło.

– Ale bosko! Podoba ci się Julka? ... Julka?

Nie odpowiadała. Siedziała nieruchomo, jedną kurczowo ściskając poręcz, a drugą skrypt. Wyglądała jak woskowa lalka, jej pokryta potem złocista cera była teraz szarozielona.

– Co jest, Juluś? Żle się czujesz?

– Niedobrze mi, nie chcę... Zrób coś, każ im zatrzymać... Proszę cię!

– Nie da rady, Julka. Ten na dole to kawał gnoja. Zobacz, widzi cię i cieszy się, że cię mdli.

– Nienawidzę cię – szlochała. – Miałeś się mną opiekować...

Przytulił ją, bezradnym gestem pogładził splecione włosy i pocałował w czubek głowy.

– Daj skrypt, jeszcze go upuścisz. No, daj!

Sięgnął po twardy rulon. Julka podniosła głowę, wbiła weń nienawistne spojrzenie, warknęła i zatopiła mu w ręce zęby. Wrzasnął z bólu i oprzytomniał.

Kłęczał na klepisku karczmy, zakrwawioną ręką wyrrywając warczącemu wściekle psu na wpół ogryzioną kość.

Ogłuszający rechot pijaczków, który zatrzęsł karczmą, podział nań jak szlauch w wytrzeźwiałce. A oni darli się jak opętani, pokazując go sobie paluchami i waląc z ukontentowania po udach. Widać darmowe widowisko, wystawiane przez zamroczonego Piotrka, trwało już dłuższą chwilę, bo krąg spoconych, rozgrzanych gorzałką twarzy zacieśnił się tak mocno, że czuł smród bijący od ich połamanych, popsutych zębów.

Dźwignął się z kłęczek, wyprostował. Stał w kącie karczmy jak odyniec osaczony przez psy. Przewyższał ich wszystkich o dobrą głowę. Cofnęli się, ale niewiele, ot tyle, żeby wziąć dobry zamach. Jakby co.

– Jakiś problem, panowie dupki? – zawarczał.

Cofnęli się jeszcze kawałeczek. Pozierali po sobie.

– My ino tak...

– Bo komedję żeście nie lada odegrali.

– Żeby się tak do psa przymilać...!

– I całować...!

Bąkali tak i mamlali jeden przez drugiego, niby przyjaźnie, ale paluchy mocno zaciskali na kuflach.

– A ty nas od panów nie wyzywaj, gołodupcu!

Piotrek spojrział przytomniej: boczkiem, dzierżąc osmoloną kociubę, przysuwał się młynarczyk. Jego pocziwa zwykle, lecz teraz zamroczona gorzałąk facjata płonęła jak w gorące.

– Józwa, pogięło cię? A weźże ty się raz na zawsze odpiardol! I wy wszyscy – zamachnął się szeroko – też się odpiardolcie! Natychmiast.

Obszerny gest ugiął pod nim osłabione gorzałąk nogi – klapnął ciężko na ławę. Uniósł jedną ręką ciężki, dębowy zydel.

– Won!!!

Nie spuszczając wzroku z pijaczków, przechylił gliniany dzban, a widząc, że nie zostało ani kropli zaryczał:

– Sara, gorzałki!

Z tyłu szynkwasu, oddzielając izbę gościnną od zaplecza, wisiała podarta szmata: drgnęła, odsunięta tłustym, piegopatym ramieniem. Za ramieniem wyłoniły się równie tłuste łapki, przytulające do falującego łona ciężki dzban okowity.

W Sarze, dziewczce służebnej, wszystko falowało. Ciężkie melony białych, błyskających co i rusz olbrzymimi, różowymi sutkami piersi, wylewające się z rozsznurowanego górą gorsetu, wydatny brzuch, szeroki jak u maciory zad. Długa, ale rozerwana aż do biodra spódnica odsłaniała mocarne nogi, zakończone zaskakująco małymi stopami.

– Ruchy, kobieto, ruchy! – wgapił się w nią wściekły na budzące się w nim znienacka, rozpalające podbrzusze pożądanie.

Sara, nie zważając na pokrzykiwania, świadoma jego podniecenia, wyszczerzyła zęby.

– Nu, nie krzyczcie, przecież idę...

Postawiła dzban, potrząsnęła głową jak klacz zamknięta na padoku z ogierem, odrzucając splątana gęstwie włosów.

– Naści. A to na wety.

Złapała czuprynę Piotrka i wcisnęła jego wściekłą gębę między obfite, spocone piersi. Kręcąc rytmicznie jego głowę, podsuwała mu to jeden, to drugi olbrzymi sutek. Obnażył zęby jak kopnięty pies, lizał te różowe, sterczące suty, całował, kąsał. Ręka sama powędrowała na tłuste udo, palce odległe od głowy o całe kilometry ześlizgnęły się z tłustego podbrzusza na obficie porośnięty wzgórek łonowy. Wilgotna, rozwarta wagina, nieosłonięta, broń Boże, takimi duperelami jak majtki, przyprawiła go niemal o szaleństwo. Czujnym, ćwiczonym przez tysiąclecia ruchem odepchnęła jego głowę, skontrolowała poziom spermy w jego przekrwionych oczach.

– Czekajże – wyśliniła mu do ucha – nie tutaj. Rozniosę ino dzbany i pójdę za stajnię. Nalała hojnie do cynowego kufla gorzałki.

– Ogarnij się trochę i przyjdź. Ino rychło. Krew nie woda – zachichotała i odpłynęła z dzbanem do wpatrującej się chciwie w darmowy pornos gromadki chłopków.

Za szynkwasem, krzyżując owłosione łapska, trwał w bezruchu, niczym ogłuszony pałąk świniak, barman Josek. Stał nieruchomo, ale małe, ukryte pod zrośniętymi brwiami oczka zazdrośnie świdrowały to Piotrkę, to rozlewającą w głębi izby gorzałkę Sarę.

Kiwnął nań paluchem.

– Chodź ino!

Pytająco odwróciła rozgrzaną karesami twarz i podeszła rozkołysanym krokiem. Josek uniósł rękę i nasadą otwartej dłoni palnął ją w roześmiane usta. Sara padła jak rażona gromem. Stuknęła potylicą w klepisko i znieruchomiała. Piotrek zerwał się, twarz nabiegła mu krwią.

– Odbiło ci, małpoludzie?

Josek pogardliwie milczał. Oszacował widać, że chudy, pijany „dochtór” nie stanowi dlań żadnego zagrożenia, bo rozciągając gębę w złośliwym uśmiešku wycedził:

– Tu nie zamtuz. A ty, dochtór, zawrzyj mordę pókim cierpliwy.

Wylazł zza szynkwasu, podeszedł do stołu i splunął wprost do stojącego przed Piotrkim kufla.

– A może jaśnie panu spieszo na dwór?

Miłochna obserwowała karczmę, ukryta za szerokim pniem lipy. Nijak jej było wejść. Jej siedemnastoletnie serce mroziły pijackie wrzaski. Zwyczajnie się bała. A kiedy wreszcie zdobyła się na odwagę i postąpiła krok do przodu, w zaroślach obok lipy z trzaskiem wylądował ciśnięty przez Jozkę, zmęczony nad miarę opój.

Cofnęła się trwożnie. „Nie dam rady, ukrzywdzą” – myślała w trwodze, gryząc kciuk. Zawadziła łydką o wystający drag, który okazał się okutym końcem rozwory. Przyjrzała się umąconemu wozowi. – Toż to zaprzęg Józwy! – szepnęła. – Ot i mam obrońcę!

Wychyła z cienia i przytknęła nos do brudnego okienka. Zerknęła tylko raz i natychmiast, oparłszy swą malutką, dziewczynską kuszę o ziemię pospiesznie ją naciągnęła.

Piotrek z wściekłością pchnął stół. Ciężki, sosnowy blat sfrunął z krzyżaków jak zeschnięty liść. Gorzałka z kufla bryzgnęła, zalewając fartuch Joszki, a on przyskoczył do ślepiów barmana jak użądłony w jaja ryś.

Lewą ręką wycelował w powalę.

– A co to?

I kiedy zaskoczony, rudy wólek zadarł głowę, dorzucił mściwie:

–A złoto!